№ 28. Warszawa, dnia (1) 14 Lipca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12 „Nadesłane"** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. **Zmiana adresu kop. 15.**

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Chrześcijańskie Towarzystwo ochrony kobiet

Epoce naszej, wraz z wielu ciężkiemi zadaniami przypadła i walka podjęta dla zabezpieczenia kobiety przeciw wpływom fatalnym, ku którym popycha ją cały ustrój naszej cywilizacyi.

Złe samo starem jest jak świat, ale natężenie jego i rozrost za dni naszych zmuszają niejako społeczności do postawienia sobie takiego dylematu:

Albo cynicznie odwrócić się od tej rany krwawiącej, nie bacząc na następstwa, jakiemi ona całemu organizmowi zagrozić może.

Albo wystąpić do walki z czynnikami upodlenia kobiety, dla częściowego, jeśli nie stanowczego zaradzenia jej upadkowi.

Mówiąc o walce, mamy na myśli zjednoczenie usiłowań, a więc ujęcie ich w pewną organizacyę, albowiem działalności rozstrzelonej, pracy luźnej pewnych grup i stowarzyszeń—mianowicie duchownych, nie brakło u nas nigdy w tym kierunku, jak nie brakło serc ofiarnych i gotowości do poświęceń dla każdej dobrej sprawy po wszystkie czasy.

Kto uwzględnić zechce słuszność i zasadniczość uwagi ostatniej, ten w konsekwencyi przyznać będzie musiał, że wprowadzenie na porządek dzienny sprawy obrony kobiety przeciw poniżeniu, w ścisłem znaczeniu inicyatywą nazwać się nie godzi. Duchem tym ożywione były zawsze umysły szlachetne, cierpiące nad wszystkiem, co pozbawia naród sił żywotnych, ale gdy na oczach naszych wraz z rozrostem wielkich ognisk ludzkich, wzmogła się liczebnie a zaostrzyła jakościowo deprawacya kobiety, zrozumiały w zupełnem poczuciu swojej bezsilności te usiłowania pojedyncze konieczność zrzeszania się.

Sprawiedliwość nakazuje powiedzieć, że w całej Europie, i tam, gdzie robota postąpiła już daleko, i tam, gdzie się na nią dopiero zanosi, myśl wytworzenia odpowiednich instytucyj zawdzięczamy światu niewieściemu. Inaczej rzecz określić się nie da, bo połowiczna lub przeciwna celowi działalność wszystkich prawodawstw od najdawniejszych czasów aż po dni nasze, ujawnia charakter albo wprost wrogi wszelkiej reformie, albo kunktatorski w najlepszym razie. Konstatując ten fakt nie można zaprzeczyć, że mężczyźnie przypada tutaj rola oskarżonego, nietylko bezpośrednio jako sprawcy zdeprawowania kobiety, ale i pośrednio, to jest jako tego, który wytworzywszy złe, przez szeregi wieków otaczał je opieką i protekcyą.

Raz ustaliwszy to jako pewnik, wypadnie nam wniosek prosty, że tym tylko, które podjąwszy myśl o wytworzeniu organizacyi dla zabezpieczenia kobiety przeciw zepsuciu i podania ręki pomocy upadłym i poniżonym—tym, które uczuły najgoręcej doniosłość hańby i o sprawiedliwość wołające ospalstwo mężkiej połowy ludzkości, oddać należy w ręce ster sprawy całej — im pozostawić wybór środków, i nie komu, a im przyznać w przyszłości zasługę, gdy dzięki pracy i wytrwaniu zmniejszą się rozmiary złego.

Nie idzie zatem, abyśmy mężczyznę odsądzić mieli tutaj od współdziałania — wbrew przeciwnie zapatrujemy się i na prawo jego do podzielenia się trudem, i na obowiązek, który mu dyktuje sama konieczność zadosyćuczynienia. Ale niemniej jak najsilniej obstajemy przy tem, aby duchem rządzącym tutaj był duch niewieści, aby odrodzicielką społeczności swojej była kobieta sama.

Rzecz główna, aby zwyciężyć mogła — aby sprostała zadaniu, a zadanie to jest równie wielkie jak trudne.

Jak w ciężkich wypadkach choroby ciała uciekamy się o poradę do lekarza najbieglejszego, a w cierpieniach i niemocach duszy ludzkiej, do tego, który drogi tej duszy najskuteczniej światłem istotnem rozjaśnić potrafi, tak i w onej robocie, o której mówimy, odwołać się nam wypadnie do sił najlepszych, jakiemi współczesny świat niewieści rozporządza. Najlepszych, to znaczy najświatlejszych, najdoświadczeńszych, najbezsporniej uprawomocnionych siłą powagi i zasługi zdobytej na wszelkich polach działalności. A ma zadanie to taką jeszcze właściwość szczególną, że nietylko od wodzów sprawy wymagać musimy tych kwalifikacyj — nietylko im stawiać cenzus tak surowy, ale rekrutując szeregi i dobierając wykonawczynie, baczyć, aby się do tej armii nic niedojrzałego umysłem, niedostatecznie rozwiniętego sercem—niedość zbrojnego miłością i wytrwaniem nie przymięszało.

To wszystko pod zagrożeniem wykrzywienia założenia i narażenia na szwank roboty społecznej pierwszorzędnej doniosłości.

Jednem słowem chcąc dokazać, będzie sobie musiała kobieta postawić jako pierwszy paragraf swojego regulaminu, że na zachciankę, kaprys, na pofolgowanie ciekawości chorobliwej, a więc na niedojrzałość w jakimkolwiek rodzaju, nie ma tu zgoła miejsca. Kto się do tak wielkiego upadku zniża, ten musi być świadomy czystości własnych intencyi — kto myśli dźwigać poniżone i ugrzęzłe w hańbie, ten musi daleko za sobą pozostawić nastrój karnawałowy — kto się ma do ogółu odwoływać o poparcie moralne i pomoc materyalną, ten winien czuć, że mu w istocie przysługuje prawo głosu, że ma za sobą i wiek, i stan, i społeczną pozycyę, i przeszłość, i teraźniejszość. Inaczej robota cała popadłaby w śmieszność trywialną, od czego oby nas uchroniły losy!

Tam, gdzie się świat kobiecy znacznemi w tej sprawie powodzeniami poszczycić już może, tam musimy czerpać doświadczenie, a przedewszystkiem doszukiwać się jakiego rodzaju żywioły stanęły na czele, i jaki duch zapanował w stowarzyszeniach i kołach. Otóż faktem jest, że rozwichrzony, krańcowy feminizm odrazu odstronił się od tego dzieła, raz

dlatego, że jemu osobiście wedle głoszonego nawet programu, to co nazywamy upadkiem kobiety, niczem tak szczególnie tragicznem się nie wydaje, a potem, że lubiąc być na wierzchu i na przodzie, tu dla siebie przodownictwa wywalczyć nie miał nadziei. Jakoż dosyć jest rzucić okiem na działalność tego rodzaju grup niewieścich w Niemczech, aby się przekonać, że tu czynniki szczodre w słowa a nieskore do czynu wytrwałego, pierwiastki nieidealne a doktrynerskie, duchy burzliwe a oschłe pola dla siebie znaleźć nie mogą. Budzić niezmordowanie iskrę Bożą w ustroju ludzkim zdeprawowanym, targować się o każdą jednostkę z występkiem, wydzierać ajentom zbrodniczych przedsiębiorstw dziewczęta przybywające z prowincyi, dyżurować do tego celu po dworcach dróg żelaznych dniem i nocą, to rzecz trochę trudniejsza, niż deklamowanie o rewindykacyach niewieścich, i dopominanie się o zajęcie przez kobiety foteli w parlamentach.

W Anglii bojowniczki postępu podniosły wprawdzie wrzawę, ale rychło się opatrzyły i zrozumiały, że jeśli sprawa ma być popularną, to na czele jej stanąć musi kobieta-matka — koniecznie, nieodwołalnie. No i jest tam zrobionego bardzo wiele, bo się o kobietę wykradzioną rodzinie upomniała rodzina, a jeśli poza tem jaka inna jeszcze grupa zorganizowana położyła tutaj również zasługi niepoślednie, to będzie głównie „armia zbawienia,“ której członkowie, pomimo wielu dziwactw niedosyć ogółowi sympatycznych, tutaj dali dowody wysokiej abnegacyi i wytrwania niesłychanego.

Zabrano się i u nas do tej roboty, ale u zaczątku samego, przy kopaniu fundamentu pod przyszłą budowę musieliśmy się rozdzielić. Jedni chcieli mieć stowarzyszenie nazwane bez zastrzeżeń Chrześcijańskiem—innym wydało się, że oddziaływanie i opieka objąć musi wszelkich wyznań bez wyjątku istoty upadłe potrzebujące ratunku, że zatem stowarzyszenie winno być powszechnem i żadnymi względami i rozróżnieniami się nie krępować.

Nie myślimy podnosić tego starcia opinii, krańcowo sobie przeciwnych — starcia, które niestety przeniosło się już na szpalty pism, a przeniosło w sposób pożałowania godny—taki, który stał się obowiązującym u nas od jakiegoś czasu. Nie będziemy również zastanawiać się kogo i z jakich względów razić może nazwa: „Chrześcijańska” przyjęta dla instytucyi, która wszędzie, gdzie istnieje, opiera się o naukę Chrystusową—jej miłosierdzie i jej przebaczenie powszechne biorąc za drogoskaz. To wszystko, co się tu powiedziało dotąd pominiemy, jak pomijamy zgrzyty namiętne uwłaczające wszelkiemu podniosłemu założeniu, a zastanowimy się tylko nad tem, co w naszych warunkach jest możliwem, co daje rękojmie powodzenia, a co wedle naszych przewidywań naraziłoby nie już robotę samą na szwank, ale coby się rozpoczęciu roboty wprost sprzeciwić musiało.

Idzie w danej sprawie o wybór działaczek, a następnie o ich środki oddziaływania na istoty brane w opiekę. Zacznijmy od ostatniego.

Każdy człowiek rozumiejący się choć cokolwiek na sposobach, jakimi probować można zwrócenia społeczeństwu istoty zdeprawowanej a ciemnej, wie, że nie można tego dzieła dokonać, ani za pośrednictwem przywoływania jej do obowiązków obywatelskich, ani przez zawrócenie jej głowy tożsamością dobra i piękna, ani rozumowaniem, ani żadnym z pięknych frazesów, w które dzień dzisiejszy tak jest zasobny. Doświadczenie uczy, że w takiem stworzeniu wynaturzonem albo się obudzi poprostu żal, wstyd i poczucie hańby przy pomocy rozniecenia iskry religijnej, albo się z niem stanowczo niczego nie dokaże. Wszak tu nie idzie o zakazy i wzbronienia, ale o drgnięcie pogrzebanego na dnie duszy pierwiastku podeptanego człowieczeństwa, a kluczem do tego jedynym dotąd wypróbowanym, jest nauka o powszechnem przebaczeniu.

Społeczeństwo nie wypierając się swoich wstrętów do upadku, przygarnia żałujące i skruszone za wskazaniem swego wielkiego Prawodawcy, i o ile nam się wydaje, równie wspaniałego aktu pojednania z upadłym, nie posiada w arsenale swoim nie weszły dotąd w życie kodeks moralności świeckiej. Jeśli się na takie akty zdobędzie z czasem, a wykaże przytem odniesionemi zwycięstwy, dosyć będzie czasu porozumiewać się z nim wtedy— dotąd wszakże przyzna nam każdy, że żyjemy tylko w sferze zaprzeczeń i obietnic z jego strony.

Raz przyjąwszy konieczność oddziaływania za pośrednictwem wpływów religijnych, charakter wyznaniowy tego rodzaju stowarzyszeń przedstawi nam się jako jedynie możebny. Można w sprawach religii stanąć na gruncie bezwzględnie tolerancyjnym, można jak najstaranniej pomijać wszystko, co potrąca tutaj o porównania i o wyższość tego lub owego kultu, ale niezbędność rozdziału nie zmniejszy się przez to bynajmniej, z tej prostej przyczyny, że moje sposoby reagowania na umysł i duszę są takie, a wyznanie, które nie jest mojem, ma środki swoje.

Ja nie podaję w wątpliwość tych cudzych, ani ujmuję im w czemkolwiek, ale nie sądzę, abym wyrządzał komukolwiek despekt lub krzywdę tem, że obstaję przy swoich i stosować je chcę dla człowieka wspólnej ze mną wiary. Żądać odemnie, abym z tych środków obrony zrezygnował na rzecz innych, jestto iść dalej niż idę ja — jestto względem mnie toleranta dopuszczać się najwyższego stopnia nietolerancyi, podanej nadto z wyrafinowaną prawdziwie perfidyą.

To się nazywa jednem słowem żądać za wiele.

A teraz zastanówmy się nad ostatnim już punktem założenia. Idzie w nim o to, czy charakter chrześcijański dlatego tylko jest konicznym w instytucyach opieki nad kobietą upadłą, że nam gwarantuje oddziaływanie najskuteczniejsze, czy też są poza tem inne jeszcze wymagania i względy, które go robią nieuniknionym.

Zdaniem naszem istnieją takie względy, a najważniejszym z nich będzie ten, że zrezygnowawszy z charakteru Chrześcijańskiego, robotnic godnych dla tego dzieła nie znaleźlibyśmy w naszem społeczeństwie wcale.

Nie łudźmy się — tak jest. Utknęlibyśmy na progu samym i ani jednego kroku nie postąpili naprzód. Kto jest zdania przeciwnego, temu powiemy wprost, że społeczności swojej nie zna wcale, że żyje w sferze uwidzeń własnych, i albo niedostrzega tego, co go otacza, albo co gorsza, absolutnej większości zamyśla narzucać doktryny niewielu, ciągle przytem wojując obłudnym, cudacznie a tendencyjnie przekręconym argumentem tolerancyi.

A S

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Ale odkąd ukazała się Chiomara, niby sen, który w nocy powstaje, a rano znika, stało się serce moje morzem rozszalałem, na które noc i burza się walą, stało się jako martwa równina, obrócona w pustynię potężnem słowem czarodzieja. Pieśni moje umilkły jak ptaki o jesieni. Powiesiłem srebrną harfę w ojców domu jako martwą, zdjąłem wieniec brzozowy, którym uwieńczono mnie na zapasach pieśniarskich... Szukałem śladów zniklej Chiomary... Lato zgasło na łęgach, śnieg zawiał lasy i odarł drzewa z wieńców wiosennych, dęby otuliły się w zawoje mgieł w niemym smutku... I znowu powróciła wiosna z gwiazdami i kwiatami, ale smętne me oczy nie ujrzały Chiomary! Nie pragnę wieszczb Korydweny-bogini, z ust twych dziewo kapłanko! Pragnę słowa twego własnego, niechaj rozdźwięczy się głos twój, o ty moje zbawienie, niby gędźba przesłodka! Wiem, co czarne twoje kryją zasłony, jest to twarz mej Chiomary. Ulituj się nade mną! A jeżeli serce twe jest jako skała twarde, zwołaj swe drużki! Śmierć śmiałkowi, który w świątyni Korydweny błaga o miłość jej kapłankę. Tak, chcę śmierci! Cóż mi życie bez ciebie, ty biała gołębico, uwięziona w mrocznem smutku domostwie?

Czarne zasłony opadają z jej głowy — i w mroku wybłyska Chiomary blada twarz. Oczy jej rozbudzają się jakby ze snu. Jasne łzy drżą i świecą na długich rzęsach. Lice jej pełne jest tajemnego świtu, jako niebo letnie w chwili, gdy śród cisz nocnych ziemia drzemie, a złoty uśmiech bogów na gwiezdnych połyska wyżynach.

— O, uchodź, Sinacie!—szepcze, chyląc głowę. — Mocniejsze nad nakaz bogini są twoje słowa. Siła czarotwórcza, święty dar Korydweny, opuszcza mnie, jestem słaba jak dziecię. Uchodź, strzeż się pomsty drużek mych! Duch mój towarzyszyć ci będzie. Gdy żale sierocej usłyszysz gołębicy, wiedz, że głos to mój! Gdy wiatr zakwili w trawach na równinie, lub w drzew leśnem zacieniu, wiedz, że moje to są westchnienia. Biada, biada, Sinacie! Padnę w ofierze potrzykroć groźnej Korydwenie! Ale ty—uchodź!..

Domówiła — i znika w ciemnościach jaskini.

Przez dziewięć nocy brzmi głos Sinata śród jęku fal i wichur burzliwych, a gdy po raz dziesiąty noc z bezbrzeża niebios po złotych światła zstępuje śladach, nie zostaje za-

wodzenie pieśniarza bez echa. Odrzuciła Chiomara czarne zasłony Korydweny i biała jako łabędź spływa ze skalisk w dół, śród ciemnej nocy. Radośnie zakrzyknął Sinat. Łódź jego ryje sobie drogę przez fale oporne. Na pewnym brzegu staje teraz jego noga — i kroki zbiegów osłania niebawem lasów cień...

Cóż to za jasne dźwięki w porannem rozdzwoniły się powietrzu? Jakież to błyski stali migocą w lesie pod świty zórz porannych? Mocny witeź Maelgun siedzi na omszonym głazie pod buku potężnego cieniem. Przyjaciele jego kolem stoją, a jego woje taniec mieczów tańczą. Nogi ich zawrotnym zwijają się wirem, miecze jak płomienie połyskują w słońcu, spiżowe łańcuchy, naszyjniki złote jako lśniące węże w skocznym świecą locie. Maelgun głową dumnie kiwa. Włosy jego wieją jak chwosty gwiazd grzywiastych, jak letni obłok pierś jego bieleje. Wspiera silne ramię o tarcz lazurową, srebrem świeci mu pochwa ogromnego miecza. Maelgun jest pawężą dla swojego ludu, dla wrogów swoich zgubą niezawodną...

Czemu błyskawicą zerwał się Maelgun z omszonego głazu? Gdzie utkwił orle oczy? Spostrzegł gołębicę białą, Chiomarę. Trwożnie chwyta się Chiomara ręki pieśniarza, krok jej więźnie, serce kona z lęku. Maelgun strzałą śród zarośli mknie, jako jastrząb z chmur na kuropatwę rzuca się, chcąc dziewę porwać drżącą. Jako gdy wicher od zachodu wieje, a wichr drugi nadleci od wschodu, i na równi nieprzejrzanej nadaremnie pasują się z sobą, drzew moc miażdżąc, mącąc modrość niebios mroczną piasku i kurzawy chmurą, tak Maelgun z pieśniarzem Sinatem o zlęknioną pasują się dziewę. Woła bogów na pomoc jej płacz, lasy wokół jękiem jej wtórują...

W rozdeptaną trawę pada pieśniarz Sinat, ręce jego wiąże rzemień tęgi, harfa srebrna roztrzaskana w pół, roztargany wian z brzozowych liści. Jęk Chiomary las napełnia cały, przerażone ptactwo trzepocze się w gąszczach.

Potężnem ramieniem chwyta Maelgun dziewę, na bystrego rumaka przed siebie ją sadza, błyskawicą, wichrem przez las gna, przez równinę jak meteor cudny lecz złowróżbny pierzcha niewstrzymanie. Jak rój bladych gwiazd za nim wojownicy śpieszą. Daleka droga Maelguna. Noc chyli czarne skrzydła nad znużoną ziemią, nowa zorza powstaje z marszczących się fal sennego jeszcze morza, a dotąd niemasz kresu jego drogi. Dopiero gdy wieczór znowu ognistem kwieciem zachodnie stroi niebo, bielą wybłyska przed nimi na wzgórzu gród warowny, siedziba Maelguna. U stóp wzgórza, niby stado bydła na zielonej trawie, chatyn wieś okrągłych stoi. Z każdej strzechy słup modrego wywija się dymu, w słońcu jakby złoty. Na chat progach mężowie przed wodzem się chylą, kobiety wołają: „Zdrowyś, panie!“

Wjeżdża Maelgun pod ojców strzechę. Dwa tury, białe bez zmazy, których karki nigdy jeszcze jarzma nie niosły, w ofierze bogom teraz padną. Wielka sala rozbrzmiewa godowników śmiechem. Piją wokół stołu z cudnokształtnych rogów. Radość błyska wszystkim z oczu, jak gdyby szczęście stałą siedzibę między nimi miało, a przecież zaguba śmiercionośnym już się zbliża krokiem...

Skinie Maelgun — i bardów orszak przez szerokie wchodzi podwoje. Zabrzmiały harfy, śpiewy falą płyną. Śpiewają o bogach, o białej Korydwenie, o Belenie, bogu złotowłosym królu słońca, który dzielność w mężów serca wlewa, pod którego mocą złote z ziemi zbóż wzrastają łany, który daje ziołom, leczącym choroby, z mchu kiełkować w cichym cieniu drzew. On olbrzymów buntowniczych zmógł, on zwyciężył ciemność śmiercionośną, książę bardów, władca nad wodami! Pług jego ze słonecznych ukowan promieni, tęcza niebios jak pas kwietny przepasuje bogu ciało, poświętna jałowica krok w krok za nią idzie. Mile chwalba mężów głaszcze bardów uszy. Śpiewają znów. A śpiew ich opowiada teraz o wyspach ptaków, kędy niebotyczne drzewa w wieczystej stoją zieloności, gniazda świętych skrzydlaczy niosąc na gałęziach. Ptaków tych skrzydła lazurem, purpurą, szafranem się mienią, król ich ma głowę złotą, w skrzydłach srebrne pierze. Śpiewny szczebiot tych ptaków jest jako śpiew niebios, a do wtóru im z morza dziewy kwilą białe, które tu w samotności, zdala od swej ziemi, wygnanki na tej wyspie, beznadziejnie płaczą... — Tak bardowie. A godownicy z chwalbą głowami kiwają, a miód i wino płyną potokami, czarują ducha, myśli porywają w lot. Niema śród wszystkich siedzi Chiomara. W złotem tkanie odzieli ją szaty; ręce, nogi, szyję złotem ozdobili. Siedzi niema, pogrążona w żalu. Teraz ją dziewy do komnaty Maelguna wiodą. Zawój oblubienicy słodką wonią dysze, ze złotych włosów balsam wonny dżdży. Jasność pochodni blasków tysiącami skrzy się w złotych klejnotach na piersi łabędziej, ale źrenice dziewy — chmurne, martwe. Chorowody dziew milkną, cicho wkrąg w komnacie, Chiomara sama stoi, o słup swadziebnej wsparta sali. Oto wchodzi Maelgun. Wyciąga ręce do dziewy, w oku jego słodka tkliwość płonie.

— Mój Sinat! — woła dziewa. — Gdzie mój Sinat?

Jak użarty przez żmiję, rzuca się ku niej Maelgun. Ramiona jego oplatają ciało dziewy wokół. Lecz ona pewną ręką słupa wciąż się trzyma.

— Słyszysz, co rozkazuję? — szepczą jej usta.—Jeżeli życie moje sercu twemu drogie, odpowiadaj: chcę wiedzieć, gdzie mój Sinat? Jeżeli będziesz milczał, roztrzaskam wnet głowę o twardy ten słup i trupem na swadziebne łoże twoje padnę. Gdzie Sinat?

Maelgun długo milczy, czoło jego chmura kryje. Westchnie wreszcie i tak rzecze:

— Głęboko w podziemiu, pod naszą komnatą, na twardej skale drzemie Sinat twój. Umrze, jeżeli moją nie będziesz.

A dziewa na to smutnym głosem:

— Jestem twoja, byle on żył.

Chwyta Chiomara złotą czaszę, pełną wina.

— Chwała ci, bogini potężna, biała Korydweno!— woła. — A ty pozdrowion bądź, małżonku mój, Maelgunie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O stroju słów kilka.

Czytelniczki niektóre zdziwią się zapewne, gdy wśród głosów fachowych, specyalnie traktujących kwestye toaletowe, niepowołany głos mój usłyszą. Z góry zastrzegam jednak, że nie o modach ale o stroju powiedzieć pragnę słów parę.

Strój a moda czyż to nie jedno?

Nie. Strój — jak samo brzmienie wyrazu wskazuje, to harmonia, to zjednoczenie różnorodnych pierwiastków, barw i linii w całość strojną, harmonijną, w której niema rozdźwięków, niema tonów fałszywych i rażących.

By taką harmonię otrzymać, niedość skombinować szczęśliwie barwy ubioru, wytworzyć wdzięczne linie krzywe — potrzeba jeszcze by ubiór harmonizował z powierzchownością noszącej go osoby, a nawet z tłem, na którem postać jej się rysuje.

Moda warunków tych nie uwzględnia, moda jest dla wszystkich osób i dla krajów wszystkich jednaką.

W epoce wielkiego, bądź co bądź, rozwoju i podniesienia ducha kobiecego należałoby nareszcie strząsnąć z siebie niedorzeczne jarzmo, nałożone nam przez zagranicznych fabrykantów, krawców i modystki.

Ubolewamy nad zaślepieniem ludu, który zrzuca charakterystyczne, jakby z łona ziemi na której żyje, wyrosłe ubiory, a przywdziewa kostiumy brzydkie, pozbawione wszelkiego wyrazu, skrojone na urząd niby kapoty aresztantów. A jednak my, posiadający, jak powiadają, subtelniejsze poczucie piękna, niż ci ciemni ludzie, czynimy to samo właśnie. Oddawna już pozbyliśmy się charakterystycznych naszych strojów. Prababki nasze za siebie i za nas podpisały zrzeczenie się ubioru, który odpowiadał warunkom klimatu, był w harmonii z typem miejscowej urody kobiecej, i z całością krajobrazu. Przyjęły wzamian poddaństwo wyrokom obcej mody, a my dziś zmieniamy corocznie krój naszych sukien, i posłusznie schylamy głowy przed zdaniem osób mniej inteligentnych, i mniej od nas wykształconych estetycznie, a zupełnie nie znających klimatu, krajobrazu, potrzeb naszych, zresztą nie troszczących się zupełnie o te względy.

Czy to nie śmieszne istotnie, że gromadka krawców i magazynierek przepisuje corocznie całemu światu, jak się ubierać powinien, jakie nosić barwy, i to aż do najdrobniejszych szczegółów. W wieku, który żadnej nie uszanował powagi, ta jedna ocalała; w wieku międzynarodowych nieporozumień, na tym jednym punkcie panuje międzynarodowa harmonia. Anglicy tylko i angielki zaznaczają hardo swą indywidualną, narodową odrębność.

Wprawdzie niekiedy przeciw wszechwładztwu mody buntują się poddani a nawet poddane. Mieliśmy tego przykład przed kilku laty, gdy chciano wprowadzić na nowo potworną pamiątkę drugiego cesarstwa — krynolinę. Protest był jednomyślny i mimo nakazów żurnalowej władzy szalony pomysł nie znalazł zastosowania. Za to równie nieestetyczna tur-

niura grasowała przez lat kilka, do coraz potworniejszych dochodząc rozmiarów.

Jeżeli rokosz możebnym się okazał w jednym wypadku, czy nie możnaby strząsnąć nareszcie w zupełności tego śmiesznego jarzma? Doprawdy byłoby to godnem epoki, w której kobiety, jak mówią, przestały już być lalkami; serca ich biją tętnem wielkich ogólnych pragnień, myśl dąży ku wyżynom. Lecz co postawić na miejsce strąconej z tronu królowej—mody?

Czy jednostajne jakie umundurowanie?

Nie. Za ideę piękna walczymy przecież. Jej należy się berło.

Strój winien być przedewszystkiem wygodnym, to jest nieszkodliwym zdrowiu i zastosowanym do klimatu.

Ktoś z powierzchownie sądzących mógłby zrobić zarzut, że strój taki musi być brzydkim. Nie. Tak zwane hygieniczne ubrania bywają zazwyczaj brzydkie, ale nie muszą i nie powinny być takiemi. Za to ubiory niewygodne, jako krępujące ciało, naruszają jego estetyczną harmonię i są zawsze przeciwne pięknu. Gorsety wyniszczające organizm, pozbawiające twarz świeżości barw, gęste woalki tamujące przystęp powietrza, ciasne na wysokich korkach obuwie, przy którem ciało rozwija się nienormalnie, a ruchom brak prostoty, siły, zręczności i wdzięku, to są wszystko zamachy mody na ideę piękna. Słusznie ubolewa Ruskin nad upadkiem piękności fizycznej tak wyraźnym w naszej epoce.

Gdy mowa o klimacie, rozumie się, że mam na myśli wszelkie warunki klimatyczne, nietylko temperaturę, której wahania są u nas tak znaczne, że wymagają najróżnorodniejszych ubiorów—od bardzo lekkich do najcieplejszych. Znaczna ilość wilgoci w powietrzu, zwłaszcza o pewnych porach, powinnaby skłonić zarówno mieszkanki miast jak wiosek do używania sukien krótkich. Modne w tym roku powłóczyste spódnice, jako w wysokim stopniu estetyczne, należałoby zachować do salonu i karety, lub choćby dorożki. Na codzienny jednak użytek dla osób sfer średnich są one zupełnie nieodpowiednie, na co z pewnością zgodzi się ze mną większość czytelniczek. To samo powiedzieć można o sukniach używanych na spacery, wycieczki górskie i t. p. Od tylu lat społeczeństwo nasze nawiedza Tatry, kobiety z zapałem oddają się sportowi górskiemu. Dotąd jednak nie pomyślały o stworzeniu jakiegoś lekkiego i wygodnego kostiumu, któryby wycieczki te ułatwiał. Brak w tym względzie wskazówek mody, a inicyatywie własnej nie dowierzają widać nasze turystki. To też na spacerach spotyka się panie w białych długich sukniach i jedwabne halki, a podszewki świszczą jak na Nowym Świecie. Cieniutkie pantofelki, gorsety, kosztowne kapelusze uniemożliwiają wprost tym osobom rzeczywiste poznanie pięknych gór naszych. Sądzę nawet, że magazynierka, która poznawszy dobrze warunki miejscowe, zdołałaby obmyśleć odpowiedni kostium i zajęła się wyrobem tego rodzaju ubiorów, miałaby w Zakopanem niemałe powodzenie. Potrzeba daje się uczuwać silnie — tylko jak zwykle brak nam inicyatywy.

Wracając do owych modnych ubiorów stołecznych, przeniesionych na tło górskie, najważniejszym przeciw nim zarzutem, w moich oczach przynajmniej, jest rażąca ich dysharmonia z krajobrazem. Od marzącej duszy poety, czy artysty, na widok takiej strojnej lalki ucieka precz nastrój wywołany posępną, dziką przyrodą gór rodzinnych. To jak gdyby ktoś w poważny hymn wtrącił kilka tonów operetkowej piosenki. Te piękne w pojęciu swojem panie nie domyślają się nawet, że figurami swemi szpecą wspaniały pejzaż, że są śmieszne wobec tych skalnych odwiecznych olbrzymów.

To samo, z odpowiedniemi do natury krajobrazu zmianami, zastosować też można do każdej okolicy.

Jakże barwny, błyszczący ubiór krakowskiego wieśniaka harmonizuje się świetnie z wesołem tłem żyznej i bogatej jego przyrody, jak malowniczy, śmiały strój tatrzańskiego górala godzi się pięknie z dzikim wyniosłym duchem górskiej jego ojczyzny.

Stroje ludowe są piękne dlatego, że dostrajają się w harmonijną całość z typem fizyonomii miejscowych i z wyrazem otaczającej przyrody. To też skoro niepodobna powrócić nam we wszystkich przynajmniej szczegółach, do zrzuconego w osiemnastym wieku stroju wyższych klas społeczeństwa, powinniśmy zwrócić się do skarbnicy urabianych przez wieki kostiumów ludowych, i zaczerpnąć ztamtąd motywów ubrania, które zastąpiłoby cudzoziemską, wiecznie zmieniającą się modę.

Prócz wszystkich tych względów, najważniejszą jest umiejętność zastosowania ubrania do indywidualnego charakteru fizyonomii i postaci. Tu jednak żadne wskazówki przydać się nie mogą. Potrzeba mieć dużo wykształcenia estetycznego, wrodzoną intuicyę piękna — i dużo samokrytyki, o co podobno najtrudniej.

Przekonaną jestem, że pobieżne te uwagi moje nie wstrząsną tronem królowej mody, sądzę jednak że mogą być zaliczone do tych kropel, które padając na skałę w końcu skruszyć lub podmyć ją zdołają.

H. C.

Ruch książkowy we Francyi.

Jakkolwiek wykazy biblioteki Narodowej Francuzkiej podają w roku 1899 blizko 50,000 druków, którymi jej katalog został zbogacony, świeżo wydane sprawozdanie bibliograficzne w czasopiśmie „le Cercle de la Librairie“ redukuje tę cyfrę do 12,985 sztuk. Różnica pochodzi ztąd, że biblioteka przyjmuje wszystko bez wyjątku, podczas gdy na młynku księgarskim oddzielono wszelkie tezy uniwersyteckie studentów i najróżniejszego rodzaju rzeczy bez wartości, których ilość dać może czytelnikom miarę rozrostu grafomanii w tym kraju ruchliwym.

Ważnem jest dla zrozumienia ducha epoki, którą przeżywa Francya, rozszczególnienie tej cyfry 12-tu z górą tysięcy na poszczególne pozycye wedle przedmiotow traktowanych w książce. Znajdziemy tutaj takie rubryki: Literatura piękna ma przyrostu w roku minionym o dzieł 1,959—Pedagogia i nauczanie 1,694 — Historya wraz z naukami pomocniczemi 1,444—Nauka lekarska 1,290 — Religia (przeważnie katolicka) 764—Prawo 583 — Nauki moralne, społeczne i polityczne 432—Sztuka wojskowa, marynarka i żegluga 396—Geografia 269—Popularyzacya wiedzy 291 — Filozofia i moralność 233 — Nauki przyrodnicze 230 — Literatura obca 222 — Nauki rolnicze 214—Sztuki piękne 164—Różne (sprawozdania z posiedzeń akademii, towarzystw naukowych, encyklopedye, wolnomularstwo, polowanie, rybołówstwo, wyścigi, jazda konna, gry rozmaite, bibliografia) 138 — Historya starożytna 62—Nauki matematyczne 56—Nauki mistyczne i okultystyczne 34.

Cyfry te bez ścisłejszego komentarza obejść się nie mogą, i dlatego dodamy do niektórych z pomiędzy tych pozycyi pewne objaśnienia. Francuzi, mianowicie wydawcy, od których wychodzi właśnie to sprawozdanie, traktują to trochę po giełdowemu, a my nie poczuwamy się do obowiązku zmieniania charakteru w ich sprawozdaniu — owszem zabarwienie właściwe wydaje nam się tutaj dosyć na miejscu.

I tak z kwestyi bieżących najwięcej zajmowano się w roku upłynionym sprawą Dreyfussa. Stronnicy i nieprzyjaciele zaczernili, jak nam tutaj nawet wiadomo, bibuły góry prawdziwe. Po sprawie Dreyfussa najszerzej reprezentowane są w druku kwestye dotyczące Anglii; Bismarck ma komentatorów sporo, a Napoleon, jak się wyrażają panowie księgarze, jest w tej chwili w *zniżce*. Za to Joanna d'Arc doczekała się w tym jednym roku aż 14 monografii.

Ze wzrostu dzieł treści geograficznej wnioskują francuzi nietylko o rozpowszechnianiu się gorączki turystycznej, ale i o duchu kolonizacyi w narodzie całym—Ile jest prawdziwem to ostatnie, stwierdzić oczywiście niepodobna, a orzeczenie pozostawić wypadnie przyszłości. Również cieszy ich i pochlebia dumie narodowej ilość 1,200 dzieł lekarskich, co z pewnością zdaje się zasługiwać na uznanie. Co do dzieł treści religijnej, rubryka ta byłaby o wiele większą gdyby do niej dodać to, co się jako zostające w związku z religią traktuje, mianowicie pedagogię po części, i ruch neo-chrześcijański cały.

Tematy poruszane w pracach ekonomistów w tym okresie czasu omawiają głównie: kwestye przywrócenia normalnego przyrostu ludności we Francyi—zbrodniczość wśród dzieci—kwestyę powszechnego rozbrojenia — dalej przyszły pokój, a nakoniec alkoholizm.

Badania filozoficzne mają za temat po większej części psychologię i psychopatologię. Przeważają tam tytuły tego rodzaju: *Studya nad złośliwością wewnętrzną kłamstwa — Kosmografia umysłu—Zbiór paradoksów filozoficzno-astronomicznych—Psychologia klątw i bluźnierstw* i t. p.

Zdziwiłby się, powiada francuzkie sprawozdanie, człowiek, który obudziwszy się po dziesięcioletnim, dajmy na to, letargu, przeczytałby 222 książek traktujących z punktu czysto technicznego, postęp środków lokomocyi. Sam automobilizm wywołał 10 utworów specyalnych.

Nie można też powiedzieć, aby 34 tytuły dzieł wyliczonych w rubryce okultyzmu grzeszyły banalnością. Znajdujemy tam naprzy-

kład: *Poddanie myślowe, czyli wielka Deniza— Lalka cudowna— Głos ducha* i t. p.

Za to ubożuchnie przedstawia się poezya — wszystkiego 370 książeczek, a i co do treści, o ile wiadomo z prób, nie byłoby wiele do powiedzenia. Naturę tych wzlotów współczesnej Francyi znamy wszyscy—niema czego zazdrościć francuzom dzisiejszym pod tym względem, jak i pod wielu innymi.

Nie należy też brać w rachunek w niezliczonej ilości wyrastających fars, krotochwil jednoaktowych więcej lub mniej dowcipnych, lub sensownych; co się zaś tyczy sztuki dramatycznej poważniejszej, reprezentowanej przez utwory dwu, trzy lub więcej aktowe, tych dostarczył Francyi rok miniony ogółem paręset. Ciekawe są dosyć rozszczególnienia i w tym także dziale. Pomiędzy stosem wodewilów, arlekinad, buffów, hypnokomedyi, pantomin et caet., et caet. znajdujemy sztuk heroiczno-patryotycznych 1 (wyraźnie jedna) — liryczna 1—dramat chrześcijański 1, i dalej w tej samej ilości, w miarę jak rodzaj liczy się do poważniejszych.

Operetka pożarła tedy, jak widać resztę twórczości i króluje dotąd niepodzielnie.

K.

KATASTROFA.

Piszą z New-Yorku pod datą 1 Lipca.

Pożar wybuchły wczoraj w dokach niemieckiego Lloyda rozszerzył w jednej chwili niezmierne zniszczenie. Niepodobna dotąd oznaczyć dokładnie liczby ofiar, ale zdaje się w każdym razie, że 300 do 350 osób znaleźć musiało śmierć wśród płomieni albo w falach morskich. Co zaś do strat materyalnych, te obliczają dziś w przybliżeniu na jakieś 20 milionów dolarów.

Ogień wszczął się wśród ładunku bawełny, ztamtąd przedostał do magazynu zapełnionego beczkami whisky, które wybuchając rozniosły odrazu pożogę do najbliżej stojących na kotwicy statków Lloydu, a od nich do parowców kompanii Transatlantyckiej. Złe powiększała ta okoliczność, że wypadek trafił się właśnie w dzień przeznaczony na zwiedzanie doków przez publiczność, to też doki literalnie pokryte były tłumem kobiet i dzieci. Odrazu wytworzyło się położenie tak rozpaczliwe, że setki całe osób skakało do wody, aby uciec z płomieni szerzących się z przerażającą gwałtownością.

Towarzystwo Hamburgsko - Amerykańskie zmuszone było do powzięcia decyzyi heroicznej, dzięki której magazyny i składy wysadzone zostały dynamitem z obawy, aby nie przeniosły pożogi do doków sąsiednich. Scena ta widziana z wybrzeża była, jak powiadają, niewypowiedzianej grozy, a setki tysięcy ludzi przybyłych z New-Yorku było jej świadkami.

Magazyny Północno-Amerykańskiego Lloyda są zniszczone doszczętnie na przestrzeni ¼ mili, równie jak i wszelkie składy i transatlantyckie parowce „Men," „Saala" i „Brema."

„Cesarz Wilhelm Wielki," statek, który zdołano wycofać do rzeki, zanim go w zupełności objęły płomienie, ucierpiał bardzo, a straty zrządzone na nim obliczają na sto tysięcy dolarów. Inny transatlantyk „Fenicya" z linii Hamburgsko-Amerykańskiej uszkodzony także. Najtrudniejszem było wyholowanie z ognia parowca „Cesarz Wilhelm." Drewniane części tego okrętu zajmowały się płomieniem po kilkakroć, i tylko heroicznym wysiłkom osady zawdzięcza on swoje ocalenie. Kilku marynarzy i mechaników cudem jedynie uniknęło śmierci.

Sceny były rzeczywiście wstrząsające. Dwudziestu dziewięciu naprzykład ludzi z pośród załogi „Saali" uczepiło się przy jednym z boków tego statku, oblewanego już strumieniami wody przez pompy pływające. Po czterech godzinach upartej walki ze strasznym żywiołem, zdołano ocalić tych ludzi od podwójnego niebezpieczeństwa, które im zagrażało, ale z innymi nie udały się żadne próby.

Siedemdziesiąt osób znajdujących się na statku w chwili, gdy pożar wybuchnął, zginęło w płomieniach.

Parowiec „Men" podaje straty swoje w ludziach na 37 spalonych i 60 zaginionych. Dwadzieścia pięć z tych trupów odnaleziono dotąd, ale tylko kilka z nich zdołano sprawdzić i rozpoznać.

Parowiec „Brema, na którego pokładzie sto blizko osób znalazło śmierć, szerzył niezmierną trwogę, tak że pompy pływające, które ratowały „Saalę" musiały ją opuścić, a zając się przedewszystkiem „Bremą," albowiem jej żagwie gorejące, roznoszone przez wiatr, zagrażały nawet miastu.

Świadkowie naoczni opowiadają, że walczących z falami ofiar było tak wiele, jak bywa kąpiących się w rannych godzinach na nadmorskich plażach. Jeden ze statków ratunkowych, wysłanych na pomoc ginącym, powiada, że wyłowił z wody 70 osób, ale patrzeć musiał na śmierć dwudziestu przynajmniej innych, którym żadnej pomocy nie był w stanie udzielić.

R.

Mleko i tuberkuloza.

Pani Lydia Rabinowicz, używająca tytułu doktora medycyny, od lat kilku oddaje się studyom nad związkiem przyczynowym między tuberkulozą u ludzi, a chorobami płuc bydła rogatego. W 26-ym numerze niemieckiego tygodnika lekarskiego noszącego tytuł: „Deutche Medizinische Wochenschrift" ogłosiła p. Rabinowicz wynik tych badań, które streszcza w artykule swoim: „O niebezpieczeństwie przenoszenia z organizmów zwierzęcych na organizmy ludzkie zarazka tuberkulicznego, a to za pośrednictwem mleka i przetworów mlecznych."

Rzecz napisana jest popularnie i pomimo, że pomieszcza ją w łamach swoich tygodnik naukowy, czytana być może przez każdego, posiadającego wykształcenie średnie. Oto co mówi w tej sprawie autorka:

Bezpośredniem następstwem wielkiego odkrycia d-ra Kocha z przed lat kilku, mówi ten artykuł; było poszukiwanie zarazków tuberkulicznych w rozmaitych organizmach żyjących. Badania skierowane do obór znaczniejszych, produkujących wielkie ilości mleka na eksport miejski, wykryły zarazka tuberkulozy w mleku nietylko takich krów, których wygląd zewnętrzny i inne oznaki bardziej skomplikowane, pozwoliłyby lekarzowi zwierząt zakwalifikować je do rzędu podejrzanych o cierpienia płuc, ale i w mleku krowy dojnej normalnego zupełnie i pomyślnego, wedle ekspertyzy lekarskiej, stanu zdrowia. Ztąd wyprowadza p. Rabinowicz wniosek, że ktoby chciał otrzymywać mleko klinicznie wolne od zarazków, [ten musiałby koniecznie każdą sztukę dojną poddać szczepieniu ochronnemu, a póki ten środek nie będzie zastosowany, żadna krowa zdrowa pozornie dojoną być nie powinna.

Przeciwko konkluzyom takim posypały się oczywiście protesty ze strony rolników, dla których prawo w tym duchu ogłoszone przez państwo bez żadnych odpowiednich kompensat czy wynagrodzeń, byłoby wprost rujnującem; jakoż na czas pewien, po tej pierwszej próbie wyszłej ze sfery naukowej, rzecz cała przycichła w opinii.

Wkrótce potem przedsięwzięła p. Rabinowicz cały szereg nowych prób, które tym razem dały rezultat w cyfrach dostatecznie, jak się zdaje przekonywający. Poddała ona mianowicie badaniu krowy jednej z większych obór i podzieliła wszystkie sztuki na dwie kategorye. Jednej z nich zaszczepiła zarazek— drugą, którą oględziny weterynarzy uznały jako zdrową bezwarunkowo, pozostawiono bez szczepienia. Cóż się okazało? Oto sztuki szczepione dawały mleko bezwzględnie wolne od zarazków, sztuki zaś pozostałe, których mleko uznano jako wyborowe, a zatem przeznaczone dla dzieci i sprzedawane po cenie wysokiej, zawierało żyjące i energiczne okazy zarazków typowych.

Tu już przychodzi p. Rabinowicz do wniosku, że bez wdania się państwa w tę sprawę rzecz nie może postąpić naprzód ani kroku. Niechajby już mleko przeznaczone dla ludzi zdrowych poprzestawało na oględzinach weterynaryjno-lekarskich, ale to, które idzie dla dzieci i dla chorych pochodzić powinno bezwarunkowo od krów poddanych szczepieniu ochronnemu.

Nietylko w mleku znajdowała wytrwała badaczka zarazki choroby płuc, nie były od nich wolne i przetwory mleczne, jak: sery, masło, serwatka, a co najważniejsza i kefir leczniczy, który się przecież przepisuje wyniszczonym suchotnikom, jako środek odżywczy.

Jeżeli tedy kontrola lekarska ma być czemś więcej jak prostą formalistyką, a raczej zabawką, tedy byłoby w najwyższym stopniu do życzenia, aby od tej zabawki wyłączyć te przynajmniej surrogaty i przetwory mleczne, które zalecają lekarze jako środek uzdrawiający.

Pani R. zdaje sobie sprawę z wielkich strat, jakie na skutek ścisłej kontroli służby zdrowia narażonym będzie rolnik, którego podstawowy dochód spoczywa na produkcyi mlecznej, ale ze słusznemi pretensyami odsyła tego rolnika do kalkulacyi z państwem — kalkula-

cyi, w którą nauka mięszać się nie może. Natomiast zapytuje bez ogródek, czy obowiązanem jest państwo pamiętać o tem, aby przeciętny mieszkaniec miast — nie mówiąc już o dzieciach i chorych, miał za swój zapracowany grosz takie produkta spożywcze, których własności są przez naukę sumienną uznane jako zdrowiu nieszkodliwe?

T. M.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

Jednem słowem jeśli ranna inspekcya zakładu zajmowała d-rowi Wernerowi codziennie jakieś parę godzin, dzisiaj zbył ją w ciągu pół godziny najwyżej, tak że służba cała porozumiewające wymieniała między sobą spojrzenia, a świadomy pobudek tego nerwowego podniecenia u swego prześladowcy, wytężał wzrok i nadstawiał uszy, pewny, że to wszystko bez następstw pozostać nie może.

Tymczasem usłyszał tylko te kilka słów.

— Jak pan dyrektor przyjdzie — dać mi znać natychmiast. Jestem u siebie.

Było też to „u siebie“ ciekawą bardzo w swoim rodzaju ubikacyą. Nazwane w kontrakcie między lekarzem a zwierzchnością zakładu sporządzonym, pokojem umeblowanym, stanowiło ono w istocie nieregularny czworobok w samym rogu domu położony—domu, który miał z tej strony ścianę szczytową załamaną pod kątem ostrym. Co zaś do umeblowania, to składał się na nie wybór rozmaitych sprzętów, których nawet w pokojach najtańszej kategoryi pensyonarzy pomieścićby nie było można.

Jakkolwiek obecny tej nory lokator, pozostający przy zakładzie na stanowisku młodszego ordynatora z pensyą miesięczną 30 rubli był człowiekiem w twardej szkole życia wychowanym, jakkolwiek pogrążony cały w naukowej specyalności swojej, mniej był czułym od wielu ludzi na komfort i wygody życiowe, są przecież wymagania nie przekraczające granic ładu i czystości, do których westchnąć musi od czasu do czasu każdy domator, przepędzający większość dnia i nocy za swoim stołem przepełnionym książkami i papierami. Jeśli tedy mieszkanie takie nie pociąga i nie umila pobytu samo przez się, nie powinno ono odpychać w żadnym razie.

A przytem, jakże się ten człowiek młody, ten entuzyastyczny fanatyk zawiódł ciężko pod każdym względem. Rozumiał dobrze, czem jest 30 rubli dochodu miesięcznego, boć przecie studentem będąc zarabiał więcej, rozumiał i to, że na odludziu, na którem stał zakład, o praktyce niema co marzyć, ale jego ciągnęła tutaj możliwość przypuszczalna studyów w obranej specyalności, i dla tych studyów gotów był na prywacye wszelkie. Tymczasem o studyach nie było mowy w zakładzie, podobniejszym do przedsiębiorstwa umeblowanych mieszkań, niż do jakiejkolwiek lecznicy, szpitala, domu zdrowia, a choćby przytułku. Był to sobie interes tak dobry, jak każdy inny — nadto nic więcej. A przytem dzięki temu, jak gdyby na szyderstwo ustanowionemu uposażeniu, brnął stale—zrazu w drobne — następnie w coraz poważniejsze, zobowiązania, których zrealizowanie bez jakiegoś nadzwyczajnego a przyjaznego wypadku przedstawiało się już dzisiaj jako złudzenie dziecinne.

Oto do czego doprowadziły go te nadzieje! Taki najmita jak ten jego podwładnyośmiela się podstępną propozycyą swoją stawać między nim a honorem—między nim a obowiązkiem, boć on dobrze rozumie do czego zmierza, praktycznie biorąc, taka z jego strony uczynność. Wzamian za tę przysługę zobowiązuje się milczący lekarz zamykać oczy na wszelkiego rodzaju nadużycia, tolerować wyzyski, z którymi on walczy wytrwale od kilku miesięcy. Ha! raczej śmierć głodowa!

Wyboru niema to prawda, ale jeśli jest honor profesyjny, to i etyka prywatnego człowieka na punkcie rzetelności zwyczajnej i dostojeństwo zobowiązania, to przecież także nie puste słowa. Co zrobi — jak wybrnie z tego położenia?

Pospolite, nędzne, przez ostatni rodzaj wyrzutków praktykowane, zarywanie biednego rzemieślnika naprzykład? A to upokorzenie samo—to obniżenie w oczach motłochu godności zawodu! Gdyby się tego rodzaju należności mnożyć miały, co się stanie z jego stanowiskiem moralnem?.. Szczęściem, że to jest chyba dotąd jego dług jedyny... no bo jużciż więcej nie ma takich należytości do zapłacenia...

Znowu parę uderzeń we drzwi. To zapewne dyrektor przyjechał—to jego godzina. Tak to dwunasta, a nawet po dwunastej — chodźmyż!

Zaledwie poruszył klamką dr. Werner otwarły się drzwi z tamtej strony, i stanął w nich nie posługacz lecznicy, ale jakiś człowiek obcy z torbą skórzaną przewieszoną przez ramię, który wydobywszy z tej torby książkę, a z książki list wręczył go adresantowi, przybierając minę czekającego na odpowiedź. Doktór rozerwał kopertę i przeczytał trzy wiersze, które zawierała korespondencya. Oto kilkanaście wyrazów, które nie wypowiadały w istocie nic nadzwyczajnego.

Szanowny Panie!

Dołączając przy niniejszem specyfikacyę dostarczonych przez firmę naszą dzieł naukowej treści, mamy honor upraszać o wręczenie oddawcy za pokwitowaniem przez niego, wykazanej na rachunku kwoty.

z uszanowaniem
Adler Strauss i S-ka.

Nie odwracając się od okna, stał z tym listem w ręku młody lekarz i rozmyślał, jaką dać posłańcowi odpowiedź—ustną czy piśmienną? Na razie wydało mu się, że pierwsza powinna go rychlej uwolnić, dlatego niezastanowiwszy się nawet dobrze, powtórzył dosłownie dane przed paru godzinami krawieckiemu czeladnikowi zapewnienie:

— Ja tam będę sam...

— Można zapytać, kiedy pan doktór zechce się pofatygować?

— Dziś, jutro — powtórzył machinalnie dr. Werner, któremu oblał twarz rumieniec wstydu na myśl, że daje to zapewnienie na wiatr że nie wierzy sam w to, co mówi — inaczej wyrażając się, że kłamie, jak pierwszy lepszy, którym on gardził dotąd.

Roznosiciel korespondencyi nie odchodził.

— Pan niedosłyszał zapewne—zagadnął go jak najuprzejmiej gospodarz domu.

— Owszem — słyszałem, ale ja już czwarty raz przychodzę tutaj, a zakład leży na końcu miasta, w dzielnicy, w której żadnych interesów nie mamy—to znaczy, że robię tę drogę umyślnie i zupełnie daremnie. Przecież to dla mnie biednego inkasenta krzywda dotkliwa.

Rzecz była postawiona jasno, i niewątpliwie upominanie się firmy, jakkolwiek przykre i upokarzające, niczem było w porównaniu do skargi tego podrzędnego pracownika. Wyzyskany najlepiej zrozumie wyzyskanego. Przytem z firmą można się było załatwić tak dobrze dzisiaj, jak za miesiąc bez żadnego dla niej uszczerbku—z tym człowiekiem należało skończyć natychmiast, jeśli kto był niepozbawionym sumienia, a przytem czułym na urągliwe ruszenie ramion, szyderczy uśmiech, lub inną jakąkolwiek milczącą manifestacyę z kategoryi niezdradzających wysokiego szacunku. A miał już dzisiaj dosyć tych oznak dr. Werner. To też z nadzwyczajnym pośpiechem i nie uwzględniając bynajmniej tego, co może przynieść godzina następna, wytrząsnął on zawartość leżącej na stole chudziutkiej portmonetki na rękę, na którą spojrzał teraz dlatego tylko, żeby sprawdzić, azali nie samą miedzią obdarowywa tego człowieka. Dojrzawszy zaś kilka monet srebrnych, z radością zapłacił to, co uważał za należność, rad niezmiernie, że mu to nowe widmo jak najrychlej zniknie z oczu, a odetchnął dopiero z głębi piersi, gdy po kilku układnych ukłonach inkasent znalazł się już nareszcie za drzwiami.

— Dzień dzisiejszy—monologował pod wpływem świeżego a przykrego wzruszenia—należy do złych, a można przewidywać, że dni takich będzie coraz więcej. Zrana przekonany byłem, że jednemu tylko krawcowi jestem dłużny; około południa zjawił się księgarz, a do wieczora jeszcze się ktoś o swoje upomnieć może. Najwyraźniej wybrałem sobie drogę bezwyjściową w mojej karyerze. Cóż u licha! Zaniedbanym w ubraniu nie wolno być lekarzowi—tem mniej wolno mu jest spocząć na skarbach wiedzy nagromadzonych w ciągu studyów uniwersyteckich. Muszę więc pracować w nauce, muszę się żywić, odziewać jak każdy... Prawdziwe zaczarowane koło warunków, które sobie narzucić pozwoliłem. Przecież do poniechanych wraz z mundurem uniwersyteckim korepetycyj powracać mi nie wypada, boć tak niedawno sam jednemu ze starszych kolegów w analogicznem położeniu zostającemu, robiłem z tego powodu zarzuty — i słuszne zupełnie zarzuty.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



KRONIKA.

Przy budowie Politechniki.

O godzinie 8 rano, w dniu 2 Lipca zaalarmowane Pogotowie ratunkowe rozpoczęło przewożenie ofiar katastrofy do szpitala Dzieciątka Jezus. Ofiar tych było razem 14, nie licząc tych, którzy poszwankowali na skutek wstrząśnienia nerwowego, jako świadkowie opłakanego wydarzenia.

Wedle orzeczenia komisyi złożonej z pp. Lagoria dyrektora Politechniki, członków komitetu budowy Wagnera i Dejcza, budowniczych pp. Iwanisowa, Szyllera, Jakunina i Rogójskiego — rzecz odbyła się tak: Przyczyną nieszczęścia było zawalenie się gzemsu, który oderwawszy się od góry samej budowli, miażdżył spadając na drodze swojej wszystko co napotkał—ludzi i materyał drzewny. Ludzi tych było niestety dużo, bo ruch panował na dobre i po zewnętrznym chodniku snuli się robotnicy wchodząc i schodząc—obładowani i z próżnemi rękoma. Protokół sporządzony powiada, że mur pod gzemsem nie był należycie wykończony, a tylko co przytwierdzony sam gzems miał zaprawę wapienną świeżą jeszcze. Z ofiar wypadku jeden z mularzy ze strzaskaną czaszką przytomności nie odzyskał wcale i zmarł wkrótce po przewiezieniu go do szpitala. Nazwisko jego nie sprawdzone ostatecznie—jedni mówią. że nazywał się Kozłowski—inni że Ortani. Wardzyński umarł we Wtorek, to jest nazajutrz po katastrofie, a stan robotnicy Lewandowskiej w dzień jego śmierci był beznadziejnym. Również poważne obawy budziły obrażenia poniesione przez Nowackiego, Głuchowskiego i Fryczową. Życiu pozostałych ranionych niebezpieczeństwo nie zagraża, wszyscy wszakże do dnia 6 Lipca ze stanu gorączkowego nie wyszli.

Budową pawilonu, przy którym miała miejsce katastrofa kierował budowniczy Szyller, dozorcą robót był p. Wolanowski, podmajstrzym Tomczyk. Przedsiębiorcą budowlanym jest majster mularski Otto Gehlig z Łodzi. Oto stan rzeczy aż po datę, pod którą podaliśmy tę notatkę sprawozdawczą.

Projekt instytucyi.

„Rozwój“ Łódzki donosi, że zawiązało się tam stowarzyszenis opieki nad pracownicami fabrycznemi, które z rozpoczęciem działalności swojej oczekuje na sankcyę władzy właściwej. Nie krytykując tymczasem projektu, przytaczamy w treści osnowę jego, tak jak ją nam organ łódzki podaje.

Przedewszystkiem mają być pracownice dzielone na dwie kategorye, a mianowicie: na potrzebujące natychmiastowej opieki i pomocy zarówno ze względów moralnych jak materyalnych, i na mniej potrzebujące tej opieki, to jest takie, które dopiero przy dalszym rozwoju Towarzystwa korzystać będą z jego filantropii.

Do pierwszej kategoryi zalicza projekt sieroty pozbawione opieki macierzyńskiej, zarówno jak te pracownice, których strona moralna budzić winna troskliwość stowarzyszeń, i co do tego udzielać mają swojej opinii: władza policyjna, administracya fabryczna, i ci, u których mieszka pracownica fabryczna.

Łódź dzieli Towarzystwo na cztery rewiry, z których każdy będzie posiadał swój komitet. W tym komitecie uczestniczyć ma pewna liczba pań protektorek, które będą miały obowiązek sporządzania list pracownic fabrycznych z wymienieniem wedle szematu imion i nazwisk pracownicy i jej ojca — wieku — miejsca urodzenia—położenia familijnego—stopnia wykształenia — daty wejścia do fabryki—nakoniec czasu, od którego jednostka jest pracownicą fabryczną.

Zarząd składać się będzie z 5-ciu pań założycielek; one będą kontrolować te listy i wedle znalezionych tam danych, wybierać kandydatki, nad któremi opieka rozciągniętą być winna.

Od każdej pracownicy, której przeczytany będzie regulamin, i która zechce się poddać obowiązującym przepisom, odbierane będą odpowiednie pokwitowania i w nich ma być wyrażonem: jako pracownica całkowicie a dobrowolnie poddaje się ustawie. Za uchybienie przepisom pracownice po porozumieniu się z właścicielem fabryki lub administracyą, wydalane będą od roboty, a jednocześnie Towarzystwo opieki odniesie się do władzy policyjnej o wysłanie takiej robotnicy do miejsca stałego zamieszkania.

Każda z robotnic nowo wstępujących obowiązaną będzie meldować się Towarzystwu i na zaświadczenie komitetu fabryka przyjmie ją do roboty. Kandydatce takiej wydana będzie książeczka, w której majster fabryczny lub administracya wpisywać będzie w odpowiedniej rubryce uwagi o prowadzeniu się pracownic.

Zastrzegliśmy zgóry, że krytykować projektu nie mamy zamiaru, jest wszakże jedna uwaga, której pominąć nie możemy dlatego, że ona po przeczytaniu tego eloboratu ciśnie się sama i to natarczywie. Towarzystwo chce się tytułować instytucyą opieki, a w całym programie swoim ani jednego słowa nie mówi o tem, w jakim duchu opieka ma być sprawowaną. O wydalaniu słyszymy, szematów i rubryk mamy uszy pełne, ale o metodzie oddziaływania na błądzące ani jednej wzmianki—choćby najkrótszej. Przypuszczamy, że „Rozwój“ pominął ten ustęp projektu, bo inaczej Towarzystwo musiałoby sobie chyba odmiennej nazwy poszukać.

Podziękowanie.

Zachęcone powszechnem uznaniem i objawami wdzięczności niejednokrotnie a dobitnie nawet wyrażanej, Towarzystwo wyścigów konnych pomyślało nareszcie, że dopuścić jedną tylko Warszawę do korzystania z dobrodziejstw totalizatora, a prowincyę odsunąć od udziału w tej rozrywce niewinnej, znaczyłoby to samo prawie, co uprzywilejować jednych, a względem drugich zachowywać się z macoszą obojętnością. W tym celu Lublinowi pozwolono także w roku bieżącym zabawić się przyjemnie a niekosztownie, i ukochane a jedyne dziecię Towarzystwa, za pośrednictwem którego instytucya ta daje znać ogółowi o swojej obywatelskiej działalności, przeniosło swoje budki i kramiki i na tor Lubelski także.

Niema zasługi bez nagrody. Sama gotowość i ochocze pogarnięcie się Lublinian do tej strzyży, której się Warszawa dwa razy do roku z takiem budującem posłuszeństwem poddaje, wynagrodziły w zupełności Towarzystwo, nie mówiąc już o dowodach brzęczących, które pozwolą zapewne instytucyi rozszerzać dalej swoje błogosławione wpływy. Odpowiednie benedykcye ojców i matek rodzin, pryncypałów banków i zakładów przemysłowych, troszczących się zawsze o zdobycie kasyerów, na którychby z pewnością rachować można, a także pedagogów młodego pokolenia, towarzyszyć będą członkom Towarzystwa na tej drodze niewątpliwie.

Zdaje się, że niepotrzeba przytaczać wzoru tych życzeń — każdy ich się domyśli, a i Towarzystwo wyścigów nie przypuszczamy, aby mieć mogło jakiekolwiek wątpliwości co do stopnia ich przychylności i natężenia.

Wskazówki i rady.

Własności i oznaki dobroci jarzyn.

Czerwona kapusta. Jest najlepsza o główkach średniej wielkości, mocno pąsowego koloru; bladoczerwona jest zwyrodniałą, a zanadto ciemna ma smak ostry. Ten gatunek kapusty bardzo jest na mróz wrażliwy; często zdarza się, że główki są w środku nadgniłe, jakkolwiek z wierzchu zdają się zupełnie świeże. Trzeba więc tu zwrócić uwagę na to, aby głąb był czysty, białego koloru.

Kapusta włoska. Cechą jej dobroci są główki duże, ścisłe, przez gąsiennice nie nadpsute. Są dwa gatunki: wczesna, żółtawa najlepsza do natychmiastowego użytku i późniejsza zielona zdatna na dłuższe przechowanie.

Sałata głowiasta. Powinna być ścisła, świeża, delikatna i krucha; cechą dobrej polnej sałaty są listki drobne okrągłego kształtu, endywia powinna być delikatną i jasnego koloru.

Jarmuż. Najlepszy jest ciemno zielony, brunatno-pąsowy, lecz bywa często sino-niebieski. Zyskuje na dobroci, gdy go mróz ściśnie.

Kalafiory. Są jedną z najdelikatniejszych na szych jarzyn. Dobre kalafiory powinny mieć delikatne głąby, rość w grubych i ścisłych pękach o drobnych białych, ścisłych kwiateczkach. Niedobre kalafiory mają głąby twarde i łykowate, kwiaty rzadkie, cienkie i brudno-żółtawej barwy.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Nat. Ros. z Drysy. Powieść, o którą Szanowna Pani zapytuje, rozpocznie się w kwartale bieżącym.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

TREŚĆ: Chrześcijańskie Towarzystwo ochrony kobiet. — Juliusz Zeyer: Na pograniczu obcych światów, przełożył Miriam (dalszy ciąg). — O stroju słów kilka. — Ruch książkowy we Francyi. — Mleko i tuberkuloza. — Katastrofa. — Klątwa, powieść współczesna przez A. S. (dalszy ciąg).—Kronika.— Wskazówki i rady. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Ogłoszenia. — W dodatku powieściowym. Ellen Thorneywoft Fowler: Podwójna nić, powieść, przekład z angielskiego M. G. (dalszy ciąg).

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюня 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.